

Zygmunt Fijas

ilustr. Olga Siemaszkowa

KWAŚNIENIE PIWA

Rokrocznie natura przeżywa ciężki kryzys. Dzieje się to w czasie letnich upałów, kiedy na skutek niedostatecznej ilości wilgoci w biosferze zwierzęta wywieszają swe języki, liście obwisają, zaś wszelkie zrzeszenia używające wody do celów natury propagandowej rozjeżdżają się do miejsc bardziej obfitych w płyn.

Wtedy plachty dzienników, zazwyczaj nadęte jak bukłak, stają się suche jak pieprz i wtedy prasa ma się bardzo źle.

Świat kryminalny skłonny jest najwyżej do zbrodni z premedytacją, których wykrycie oblicza się dopiero na miesiące chłodniejsze. Aferzyści, ukryci w gęstwinach, gdzie nie sięga oko wysłanników Scotland-Yardu, najwyżej oszukują w kartach, bawią się struganiem fałszywych pieczętek, lub moczą w wodzie swe dowody osobiste. Wysocy urzędnicy też nie są skłonni nawet do przecinania wstęg. Nic dziwnego, że zamiast poważnych rozstrząsań ukazują się w prasie wzmianki o dzieciach posiadających kilka głów na raz i że zamiast deszczu tak często padają przedstawienia.

Kiedyś po premierze pewnej takiej padłej sztuki jegomość posiadający na twarzy rozliczne znamiona nieopłaconych rachunków zwrócił się do mnie z zapytaniem: — Czy to pan korzystając z duszności panującej na widowni wpadł na scenę w kasku strażackim, uderzył składanym krzesłem w czoło reżysera Leszka Sobierajskiego a potem nazwał nocną koszulą to, co było suknią balową dyrektora?

Aż mnie zatkało.

Po pierwsze nie w kasku strażackim, bo ten podeptano już po pierwszym akcie, po drugie nie Leszka, bo ten gwizdał w łoży wraz z jakąś zawołowaną damą w binoklach, po trzecie nie na scenę, bo do budki suflera wlałem z pewnym uzbrojonym człowiekiem od ulicy, po czwarte nie składanym krzesłem, bo nie mam zwyczaju wpadać na reżyserów z przedmiotem, do którego jest przyśrubowany cały rząd przedmiotów, po piąte: co dzieje się, u diabła, w pańskim interesie? Aktorki wchodzi do łóżek w przedwojennej bieliźnie, aktorzy wygłaszają pod łózkami jak najgłupsze androny a pan mało się nie pokazuje na scenie z gitarą, w kratkowanych majtkach i z polewanym nośnikiem na głowie.

Osobistości nie w smak była ta odpowiedź.



— Nie podoba się panu, że dziewczęta zarobią w tych ciężkich czasach reklamą jedwabnej bielizny? Wolałbyś może, aby się przewracały na scenie w bawełnianych dessous, aktorzy zaś, by świecili tyłkami w garniturach z łódzkiej koszulówki?... A czy zapytałeś mnie, lub kogokolwiek z mego personelu, jaki ja mam materiał w szufladzie? Czy złożono memu kierownikowi jaki Wielki Repertuar. Mam, owszem, mam. Mam kilka jakichś przechodzonych brecht, które chowam na o-

twarcie jakichś nowych epokowych przedsięwzięciach. Mam kilka sztuczek nadających się najwyżej na wystawienie w świetlicy producentów pinezek, albo do wysłuchania na stojąco w ogonku. Niestety nowego Hamleta jeszcze mi nie przysłano.

Osobistość spojrzała cierpko na rulon brudnej bielizny, który niosłem do pralni i poruszyła kwaśno ustami.

— A to co? Niesie pan swe rękopisy do pralni?

Musiałem poblednąć z oburzenia, bo osobistość zatarła ręce ze zjadliwym zadowoleniem.

— Bo już nie wiadomo, co o was myśleć — rzekła z szatańskim uśmiechem. — Napadacie na porządne przedsięwzięcia niemal z nożami w zębach, a sami macie ręce brudniejsze od własnych nóg. Udajecie cnotliwe Zuzanny, a nam każecie wierzyć, że jesteśmy lotrami spod ciemnej gwiazdy. Każecie nam śmiać się z naszych własnych podobizn umieszczanych w pismach, których nikt porządny nie czyta, tak jak gdyby podobizny naszych twarzy były podobiznami kawałków sera.

Osobistość świdrując mą postać przeraźliwie rozplomienionym spojrzeniem dodała na zakończenie: — A zresztą jak się panu mój teatr nie podoba, idź pan do cyrku na pokaz lechtania niedźwiedzi!

Poszedłem na pokaz lechtania niedźwiedzi i sztuka, przyznam, była bardzo zajmująca. Po wyjściu znowu spotkałem ową osobistość i znowu zaniemówiłem z oburzenia.

Osobistość pocierała sobie pachę dłonią i mówiła do mnie z szyderstwem: — Tak sobie muszę pocierać pachę, aby się roześmiać z tej całej pańskiej humorystyki! Każesz pan w swym przedostatnim artykule cieszyć się z faktu, że wczoraj na obiad były w Klubie Pickwicka kluski, jutro każesz nam się śmiać z tego, że pojutrze będzie Kuźmy i Damiana, pojutrze z tego, że za dwa tygodnie też będzie popołudniu i też będą dawać po dwa grzyby w barszcz. A gdzie wielka satyra społeczna, gdzie zdrowy sens, gdzie nauka moralna? Satyra na piegi, paszkwil na pchły, może pamflet przeciw jakałom. Ach, trzymajcie mnie ludzie, bo się przewrócę ze śmiechu na widok tych satyrycy-nusów. A gdzie porządny kalam-bur, rzetelna fraszka, zdrowa sól attycka, gdzie?

Tej nocy osobistość, czy to z powodu upałów, czy też dlatego, że się jej przyśnił własny kalam-bur, zwirowała ze śmiechu.

Bardzo dobrze się stało, gdyż właśnie przygotowuję udratyzowaną satyrę na kwaśnienie piwa, która na pewno będzie wstrząsem na naszym rynku teatralnym. Spodziewana jest obecność czołowych osobistości z branży piwnej. Szkoda, żeby była kanalia teatralna miała wariować ze śmiechu dopiero na premierze.

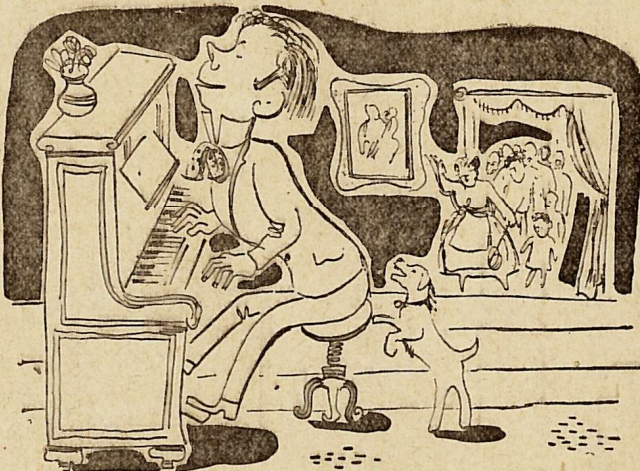
Józef Prutkowski

ilustr. Józef Mroszczak

LIMERYKI



Był pewien piekarz w Australii,
Co lubił kąpać się w balii,
Raz kąpiąc się właśnie
Namydlił się strasznie...
I nie wiem doprawdy co dalej.



A drugi piekarz w Oxfordzie
Grać lubił na klawikordzie.
Sąsiedzi mówili.
— Zaprzestań w tej chwili,
Bo zaraz dostaniesz po mordzie.

